

Z LEKTUR ZAGRANICZNYCH

Obfitość podaży publikacji książkowych o charakterze naukowym i zawodowym, z naszego kręgu zagadnień, raczej nasila się niż słabnie. Jednak jakość jest zróżnicowana. Wcale nie tak łatwo wygenerować tekst rzeczywiście produktywny.

[1] PIŚMIENICTWO WCIAŻ W CENIE [*****]

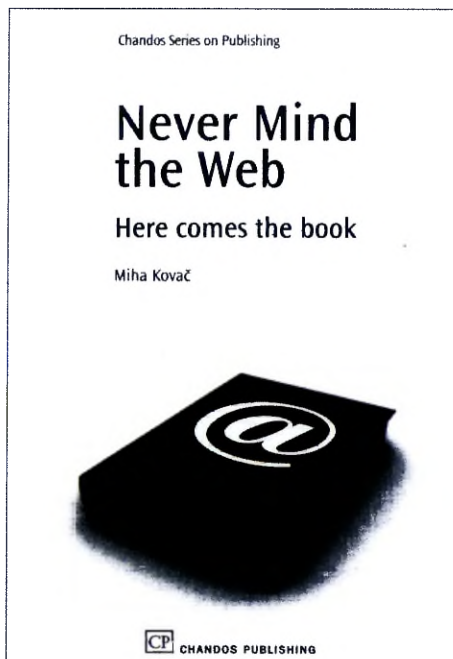
Słoweński profesor Miha Kovač z Uniwersytetu w Lubljanie, od dawna obserwujący funkcjonowanie piśmiennictwa, opublikował świetną analizę (Kovač, 2008) obecnej sytuacji książki w Europie, wspartą badaniami „Eurobarometr”. W jego opinii, książka ma się nie tylko dobrze, ale jej zasięg wyraźnie rośnie.

Być może nie tylko za sprawą tradycji i przyzwyczajęń, lecz także dlatego, że nie wymaga żadnych odbiorczych urządzeń i jest relatywnie tania. Dla porównania: w komunikacji elektronicznej aparatura kosztuje średnio tyle, co 40 książek, nie mówiąc o kosztach eksploatacji. Dlatego e-booki przyjmują się źle – również za sprawą małych ekranów, mizernego zasilania oraz fatalnego systemu rozpowszechniania. To dla książki drukowanej żadna konkurencja, tym bardziej, że e-book nie jest w stanie przeliczyć pożytków, jakie niesie ze sobą forma kodeksu.

A to właśnie kodeks okazał się kiedyś wynalazkiem świetnym, zastępując w swoim czasie zwój i dając okazję do powstania przemysłu wydawniczego, już nawet w wersji rękopiśmienniczej. W XV w. niektórzy wydawcy zatrudniali nawet po 200 kopistów oraz iluminatorów.

Potem krokiem milowym okazał się oczywiście druk, czyniąc książkę towarem masowym. Przykładowo: tezy Lutra wydrukowano w nakładzie 300 tys. egzemplarzy. Offset dorzucił do tego szybkość – dzisiaj książkę można wydać w ciągu kilku dni, trudno więc z nią konkurować. Tym bardziej, że jest produktem kompletnym, bowiem odbiorca przejmuje razem nośnik oraz treść. Tymczasem tekst elektroniczny transmituje tylko treść, nośnik natomiast trzeba sobie zorganizować, więc kupić odrębnie, samemu.

Badania zasięgu książki w Europie sygnalizują wzrost a nie spadek – co sugerowały analizy polskie. Przynajmniej 1 książkę w ciągu roku przeczytało 85% mieszkańców Holandii i Szwecji, 81% mieszkańców Słowacji, a 65% mieszkańców Polski, Belgii oraz Włoch (dla porównania: 57% mieszkańców USA). Z kolei, co najmniej 5 książek rocznie czyta 60% Szwedów, 55% Anglików, Duńczyków oraz Holendrów, 43% Słowaków i 33% Polaków, Belgów oraz Finów. O kryzysie zatem nie może być mowy. Zasięg książki jest bardzo mocno związany z powszechnością wykształcenia średniego, która u nas ma historię krótką. Zachodzi także wysoka korelacja dodatnia pomiędzy czytaniem książek, a użytkowaniem Internetu, tak więc żadne wypieranie nie ma miejsca. Oraz jest jeszcze bliski związek z jakością bibliotekarstwa – a za najlepsze systemy biblioteczne w Europie uważa się duński, fiński, szwedzki, holenderski oraz angielski.



Nie ma też oznak kryzysu w przemyśle wydawniczym, chociaż na rynku dominują duże firmy edytorskie, jednoznacznie nastawione na zysk, a w obiegu przeważa piśmiennictwo w języku angielskim i przekłady z angielskiego. Ale są też wydawnictwa niszowe i podaż jest mocno zróżnicowana, jakkolwiek stosunkowo płytka. Bardzo dużej liczbie tytułów odpowiadają relatywnie niskie nakłady.

Jednak, mimo że duże wydawnictwa „rozdadają karty”, z drugiej strony bardzo dużo wnoszą do funkcjonowania i rozwoju rynku książki. Przekonał się o tym, znany autor, Stephen King, usiłując ominąć serwituty na rzecz wydawców. Mianowicie, swoją nowelę, *The Plant* własnymi siłami ułokował bezpośrednio w Sieci i... stracił na tym pięciokrotnie. Zabrakło bowiem szaty edytorskiej, skutecznej promocji, sprzedaży w wielu miejscach oraz profesjonalnej obsługi administracyjnej i finansowej.

Kovač przyjrzał się też rozwojowi edytorstwa w dawnych krajach socjalistycznych, dla którego ten system był dramatycznym hamulcem. Otóż tam, gdzie praktyka wydawnicza była względnie liberalna – jak w Polsce i w byłej Jugosławii – lub gdzie funkcjonowały „samizdaty”, poziom wydawnictw nie odstaje już od reszty Europy. Ale w innych krajach ujawniają się poważne trudności.

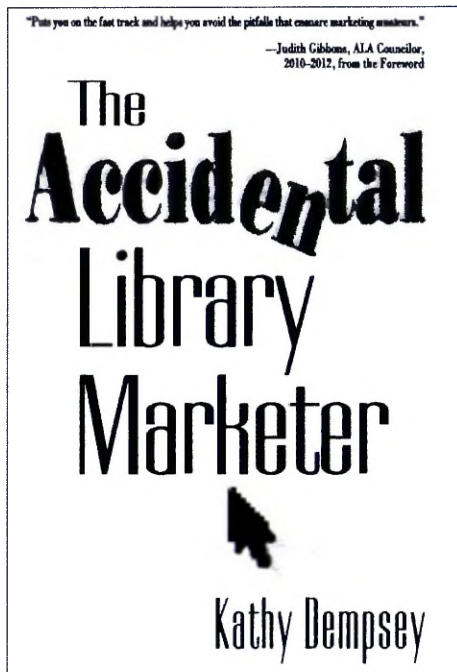
Nie tak dawno Jeff Gomez w książce *Print is dead* (New York, Macmillan, 2008) zapowiadał eliminację druku przez e-booki, ale nic takiego nie miało i nie ma miejsca. Na szczęście – dopowiada Kovač – bo gdyby wszystko było w Sieci, mielibyśmy totalną jednolitość, jak według Orwella. Druk jest formą balansu pomiędzy komunikacją zamkniętą, a internetową otwartością i to zróżnicowanie stanowi wartość samą w sobie. Trzeba ją cenić i nie przejmować się różnymi samozwańczymi prorokami.

[2] O MARKETINGU – UŻYTECZNIE [****]

Kiedy widzę książkę, albo nawet tekst, o zarządzaniu biblioteką, a zwłaszcza o bibliotecznym marketingu, odruchowo zamykam oczy, bo przeważnie są to te same, powtarzane bez końca oczywistości, slogany, a nawet dyrdymały, od których jakość zarządzania i strategii marketingowej nie poprawia się w najmniejszym stopniu. Dlatego przyjemnym zaskoczeniem okazała się rozumna i pożyteczna publikacja (Dempsey, 2009), sygnalizująca, czym **n a p r a w d ę** marketing jest, a czym nie jest.

Otóż marketing nie jest tym samym, co promocja. Promocja to tylko jego drobna część. W istocie marketing polega na ustaleniu, czego chce publiczność, na udostępnieniu albo zapewnieniu tego, czego chce oraz jeszcze na sprawdzeniu opinii o realizowanych usługach, żeby ulepszyć, co się da.

Ale publiczność jest zróżnicowana i zmienna, trzeba więc rozpoznać całą gamę oczekiwań, a potem promować ofertę w sposób urozmaicony. Tymczasem mało kto to potrafi, bo nawet na studiach INiB problematyka marketingowa wtapia się zazwyczaj w szersze obszary problemowe. Również metodologia badań marketingowych jest rozpoznana słabo – toteż autorka (słusznie) poświęca jej sporo miejsca. A już inna sprawa, że prezentując wyniki



analiz własnych, popełnia elementarny błąd: nie zwraca w ogóle uwagi na brak reprezentatywności.

Dempsey ma natomiast rację (bo to nie tylko nasza praktyka zaniechania) sygnalizując, że bibliotekarze nie realizują żadnych badań rozpoznawczych, uznając swoje wyobrażenia o użytkowniczych oczekiwaniach za wiarygodne. Otóż bezpodstawnie. Jak twierdzą zaś – cytowani w książce – eksperci, bez analizy popytu żaden marketing nie ma sensu.

Główna autorska porada zawiera się w tym, żeby spojrzeć na swoją bibliotekę oczami użytkowników. Oceniając w ten sposób wszystkie pomieszczenia: ich czystość, przejrzystość, estetykę i oznakowanie. Z tego samego punktu widzenia – powiada Dempsey – warto przeanalizować wszystkie biblioteczne komunikaty promocyjne zarówno online, jak i drukowane, chociaż co do efektywności tych drukowanych nie jest przekonana, ale nie musi mieć racji. No i są również w tekście wskazówki, jak oceniać funkcjonowanie personelu usługowego, więc stykowego: według założeń wspierania publiczności i nawiązywania kontaktów kontynuowanych. Między innymi pojawia się w tym miejscu, znana zresztą, technika rozpoznawcza o nazwie „podstawiony klient”, polegająca na sprawdzeniu i zweryfikowaniu jakości usług przez zawodowca, którego jednak personel nie zna.

Jest też w tej książce sporo innych dyspozycji szczegółowych: jak konstruować informacyjne oraz promocyjne strony WWW, jak tworzyć plany marketingowe w ramach ogólnych planów strategicznych oraz jak oceniać, weryfikować i doskonalić wizerunek własnej biblioteki. Obok teoretycznych syntez, są to również wskazówki praktyczne, do bezpośredniego wykorzystania. Pożyteczne, bo Dempsey dobrze wie, o czym pisze.

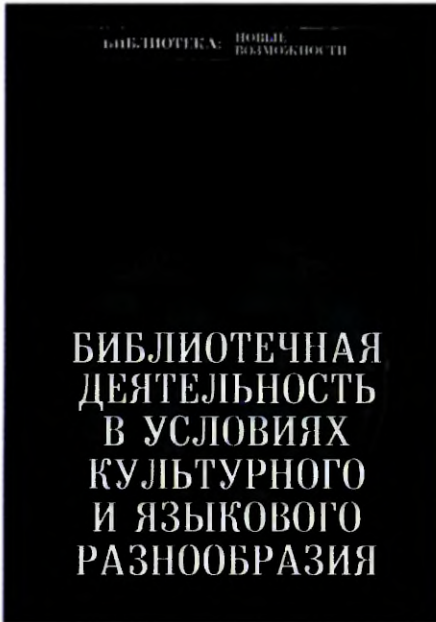
Przez cały tekst przewija się zaś charakterystyczne motto. Że mianowicie marketing jest procesem cyklicznym i nieustannym w tym sensie, że nigdy nie ma końca, natomiast nic nie powtarza się w sposób literalny oraz jest procesem zespołowym, realizowanym albo przez wszystkich, albo przez nikogo – bez połowiczności i bez cząstkowego zaangażowania. Jeden pracownik, wyłamujący się z reguły, potrafi popsuć cały efekt.

[3] MNOGOŚĆ JĘZYKOWA I KULTUROWA [***]

W Polsce świadomość, że jest potrzebna biblioteczna oferta dla zbiorowości kulturowo oraz językowo innych, ma (na razie?) charakter śladowy. Mimo że są rejony, gdzie mieszka niemało Litwinów lub Słowaków, albo Ukraińców, a ostatnio nawet Wietnamczyków. Tymczasem w wielu krajach obsługa biblioteczna „innych” jest już zadaniem wdrażanym w praktyce – ze wsparciem stosownych uchwał UNESCO oraz IFLA – od dawna i w największym natężeniu w USA i w Rosji, gdzie 20% mieszkańców to imigranci. Dlatego warto przyjrzeć się rosyjskiej refleksji problemowej (*Biblioteczna*, 2009), w tomie bardzo zresztą nierównym. Obok ciekawych rozważań ogólnych są tam bowiem także teksty nie do przyjęcia – pochodzące zwłaszcza z innych krajów, z obszaru dawnego ZSRR.

Rosja ma do czynienia z tym problemem od dawna i na wielką skalę – skoro w samej Moskwie zarejestrowano oficjalnie stały pobyt osób, wywodzących się ze 140 (!) narodowości. Działalność bibliotek w tym zakresie zawsze była i jest wypadkową polityki państwowej, na przestrzeni lat dramatycznie zmiennej. Biblioteka Narodowa w Sankt Petersburgu od dawna przechowuje zbiory wielojęzyczne, powiązane z dawnym i obecnym terytorium Rosji – w tym unikatowe teksty w językach niszowych – i zdołała je uchronić (lecz tylko częściowo) przed różnymi szalonymi decyzjami w okresie sowieckim. Ale to głównie zasługa samych bibliotekarzy.

Sytuacja współczesna wcale nie jest łatwiejsza. Z jednej strony ma miejsce budzenie się świadomości narodowej rozmaitych grup etnicznych, z drugiej – wyraźnie nasilają się tendencje nacjonalistyczne wśród samych Rosjan, szczególnie co młodszych oraz ma miejsce zjawisko samoczynnej rusyfikacji. Rola bibliotek



sprzeczności i mnożą konflikty. Deklaracje polityczne odbiegają więc nierzadko od rzeczywistości. Przedstawiciel Kazachstanu przyznaje bez ogródek, że skoro w jego kraju Kazachowie stanowią mniejszość mieszkańców, to rozpowszechnienie języka kazachskiego i kazachskiej kultury jest fundamentem polityki społecznej i dla bibliotek też stanowi imperatyw.

Z różnych powodów, jednak najczęściej finansowych, słuszne koncepcje ogólne mają się nijak do rzeczywistej praktyki. Oferta wielokulturowa powinna opierać się – co najmniej! – na wielojęzycznych kolekcjach bibliotecznych, a tych albo nie ma, albo są symboliczne, bo kupować nie ma za co, ani jak. Do czego zresztą autorzy wypowiedzi przyznają się niechętnie i zamazywanie prawdy łączy wszystkich, obojętnie czy są z Rosji, czy z Uzbekistanu, z Ukrainy bądź z Kazachstanu.

Jak też niewyobrażalne sloganiarstwo. Normą jest uznawanie za multikulturalną ofertę bibliotek... organizację bibliotecznych konferencji na temat potrzeby takiej oferty. Czasami – z dodatkiem jakiejś wystawy. I to na ogół wszystko. Obok totalnej niemożności, triumfy święci tradycyjna praktyka wschodnioeuropejska i północnoazjatycka uznawania gadaniny, że coś trzeba zrobić, za zrobienie tego czegoś – od której i my nie jesteśmy wolni.

Kwieciste, przydługie tyrady na temat potrzeby wielokulturowej oferty w bibliotekach Czeczenii lub Dagestanu – gdzie okoliczności są naprawdę dramatyczne – między wierszami ujawniają, że żadnych dokonań właściwie tam nie ma. A już inna sprawa, że poziom trudności jest niebywały.

W tomie pojawiły się również drobne akcenty polskie. Biblioteka Narodowa w Kijowie sygnalizuje współpracę z naszą BN oraz organizację wystawy fotografii „Dni Solidarności”, a biblioteka w Pskowie – wystawę „Jerzy Giedroyc”. Z Kazachstanu zaś, gdzie mieszka 102 tys. Polaków, pochodzi informacja o próbach tworzenia kolekcji polskojęzycznych, mało efektywnych z braku środków oraz o wydaniu książki dla dzieci po polsku „Nasz naród wywodzi się od Piastów”.

Najwięcej miała do powiedzenia na ten temat wicedyrektorka biblioteki wojewódzkiej w Grodnie, bo też Polacy stanowią tam 24% mieszkańców regionu. Tu oferta okazuje się konkretna, w postaci polskojęzycznych kolekcji bibliotecznych oraz stałych – więc nie odświętnych – przedsięwzięć ponadusługowych. W domu Elizy

jest więc skomplikowana, nie do końca bowiem wiadomo, kto czego chce. Teoretycy zwracają uwagę, że w USA ścierają się dwie tendencje. Jedna sugeruje działania na rzecz pełnej integracji oraz jednojęzyczności i ta zdecydowanie przeważa. Druga dopuszcza etniczne odrębności, przy ogólnej jedności państwowej – lecz akurat tam (inaczej niż w Europie) jest przez znawców często krytykowana.

W Rosji, tak jak w całej (?) Europie, przyjęto założenie multikulturalizmu, czyli kulturalnego pluralizmu, któremu ma sprzyjać oferta biblioteczna. Wymaga więc wielojęzycznych zasobów, wielokulturowych programów, także w Internecie, a nawet pracowników, władających językami mniejszości. To, co łatwo sformułować werbalnie, jest jednak w realizacji trudne, a często nawet niewykonalne. I nie jest to kłopot wyłącznie rosyjski.

Co więcej: koncepcje UNESCO zakładają, że różnorodność kulturowa przyczyni się do wymiany wartości. Tymczasem w praktyce rodzą się głównie poważne

Orzeszkowej mieści się biblioteczna filia dla młodzieży i jest też salon „U Pani Elizy”, gdzie odbywają się spotkania i dyskusje. Spora w tym zasługa polskiego konsulatu w Grodnie oraz kreatywnych propozycji 8 Domów Polskich z obszaru województwa. Biblioteka chętnie zresztą współpracuje z różnymi instytucjami w Polsce, jak widać więc – polityczne niesnaski nie mają w tym wypadku większego znaczenia.

[4] REWITALIZACJA [***]

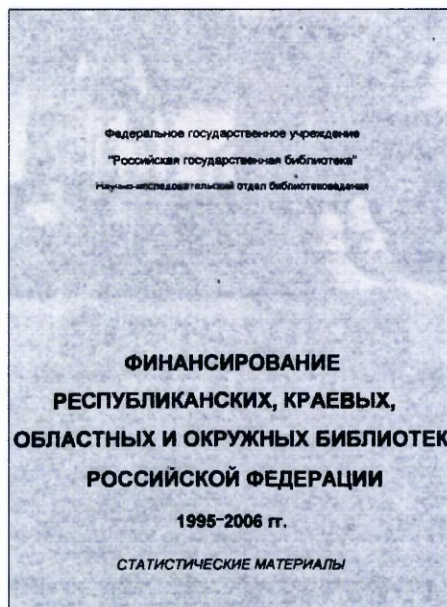
To trywialne, ale prawdziwe: bez pieniędzy koncepcje pozostają tylko koncepcjami, a rzeczywistość piszczy. Dlatego pozwalam sobie przywołać tu nietypową publikację (*Finansирование*, 2009) Biblioteki Państwowej w Moskwie, rzucającą nieco światła na ekonomiczne zaplecze niektórych rosyjskich bibliotek. Niektórych, bo tylko centralnych (republikańskich, regionalnych, wojewódzkich), utrzymywanym ze środków federalnych. Za to: w długim i dramatycznym okresie 12 lat, co pozwala wychwycić tendencję longitudinalną.

Autorka opracowania, G. Smolina oraz współredaktorki (M. Anilina, M. Dworakina), to znane i kompetentne bibliotekoznawczynie: doskonale wiedziały, jak pracować i zestawić materiały oraz czemu to ma służyć. Cel jest porównawczy i dlatego ciekawy. A żeby był osiągalny, należało wykreować i obliczyć użyteczne wskaźniki i jeszcze pokonać tę trudność, że w Rosji tymczasem miała miejsce rewaloryzacja rubla.

Wszystko wskazuje na to, że w 1995 r. miała miejsce w Rosji swoista zapaść biblioteczna i dopiero w latach następnych dokonywała się rewitalizacja – w tym sensie, że liczba użytkowników (analizowanych bibliotek) rosła systematycznie i obecnie jest o 12% wyższa, niż w początkowym 1995 r. Ma to oczywisty związek z radykalnym wzrostem finansowania (trzynastokrotnym!), które w ocenianych bibliotekach uniwersalnych wynosi 588 rubli (ok. 59 zł) na użytkownika rocznie. To niestety jest kwota niska, ale w 1995 r. wynosiła... 4,6 rubla (ok. 50 gr) na osobę, więc określenie, że miała wtedy miejsce zapaść, nie jest żadną przesadą.

Mniej więcej od 2000 r. zwyczajka finansowania jest znaczna i stale kontynuowana, ale do ekonomicznej normalności jeszcze daleko. Wszystko zależy od stanu gospodarki kraju, a z tym od kilku lat nie jest w Rosji dobrze. Co ciekawe, wpływy pozabudżetowe i własne zarobki bibliotek wzrosły w tym okresie dwudziestokrotnie, co wskazuje na zmianę postaw i aktywizację samych bibliotek. Z zachowaniem stosownych proporcji, daje się zauważyć niejaki podobieństwo do sytuacji polskich bibliotek publicznych, tyle że u nas władze centralne tych bibliotek nie utrzymują, a i o wzroście nakładów na nie też nic nie wiadomo.

Alle to rozbudowane, bardzo szczegółowe zestawienie wydatków oraz osiągnięć, powstało w jeszcze jednym celu. Ujawnia mianowicie olbrzymie dysproporcje w finansowaniu bibliotek w różnych częściach Rosji. Jeśli bowiem wydatki federalne na biblioteki – w przeliczeniu na użytkownika – w regionie dalekowschodnim (Chabarowsk, Czukotka, Kamczatka, Sachalin i in.) wynoszą 179% średniej dotacji krajowej, to w regionie centralnym (Moskwa, Kursk, Smoleńsk, Tuła i in.) tylko 80% tej



średniej, a w regionie południowym (Czeczenia, Dagestan, Inguszetia, Stawropol i in.) jeszcze mniej, bo 77%, to trudno to w sposób racjonalny wytłumaczyć i tym bardziej – trudno mówić o pełnej stabilizacji.

Czasem nawet zestawienia statystyczne ujawniają nieoczekiwane treści. Oto w Czeczenii dane statystyczne, zresztą mizerne, figurują dopiero od 2003 r. i beneficjentem dotacji federalnej nie jest tam żadna biblioteka dla młodzieży (gdzie indziej takie biblioteki są w rejestrach ujęte). Z kolei, w Republice Czuwaskiej federalnie finansowana biblioteka dla młodzieży nie istnieje od 1999 r. Zresztą bibliotek dla dzieci, oraz dla młodzieży, finansowanych z budżetu federalnego, brakuje w wielu innych regionach. To nie jest symptom pomyślny. Jakkolwiek więc federalne wydatki na te właśnie, dziecięce i młodzieżowe, biblioteki ogólnie wzrosły aż piętnastokrotnie, trudno zgadnąć co będzie, kiedy te pokolenia wydorosną.

Dawno temu biblioteki w ZSRR, przynajmniej w samej Rosji – niezależnie od narzutu ideologicznego, od którego bolały zęby – przyczyniły się mimo wszystko do szerokiego zainteresowania dobrą literaturą piękną, rodzimą i zagraniczną (w przekładach). Potem jednak nastąpił głęboki i długoletni kryzys i dopiero w ostatnich latach pojawiły się symptomy poprawy: tu sygnalizowane na przykładowej grupie bibliotek. Ale z takiego dołka nie tak łatwo wyjść, zwłaszcza kiedy trzeba równocześnie brać się za elektronizację.

[5] WCZESNE POCZĄTKI [***]

Od dłuższego czasu w piśmiennictwie bibliotekarskim lansuje się bardzo wczesne kontakty bibliotek z małymi dziećmi, nawet w wieku poniżej 1 roku. Oto kolejna książka (Rankin i Brock, 2009) na ten temat, autorstwa dwóch pracowników Uniwersytetu w Leeds.

Jest to raczej rekapitulacja tego, co już napisano dotychczas, niż całkiem nowa opinia, ale klarowna, starannie opracowana i sugerująca szereg działań praktycznych. To ma sens, bo bibliotekarze wciąż trzymają się cezur 3 roku życia jako początkowego dla korzystania z bibliotek.

Autorki – wzorem innych opiniodawców – sądzą, że początki powinny być możliwie wczesne, do czego trzeba przekonać rodziców, bo konieczne jest ich aktywne uczestnictwo. A wszystko po to, żeby kontakty małych dzieci z biblioteką przyczyniły się do rozwoju postrzegania, mowy oraz interakcji z innymi dziećmi, a z czasem – żeby biblioteka stała się miejscem dobrze znanym i przyjaznym, a książki – przedmiotami dobrze kojarzonymi.

To wszystko wymaga opracowania specjalnych programów imprezowych, z nastawieniem nie tylko na małe dzieci, ale także na rodziców oraz na całe rodziny. Dla dzieci powinny to być oferty zabawowe, jednak połączone z czytaniem, z opowiadaniem i z rozmowami. Rodzicom natomiast (ewentualnie opiekunom) trzeba przypisywać specjalne, aktywne role, a także zasugerować domowe czytanie lektorskie oraz przedstawić warianty form, wprowadzających w domu do nauki czytania. Dobrze uzasadniona opinia jest taka, że ten sposób wprowadzania dzieci



w świat piśmiennictwa i biblioteki, przyniesie następnie pożytek w postaci przyspieszonego i pogłębianego rozwoju intelektualnego.

To oznacza jednak absolutną konieczność wyodrębnienia agend dla dzieci w każdej środowiskowej bibliotece publicznej, ze stosownym wyposażeniem i zasobami oraz z wyspecjalizowanym personelem. Autorki starannie, może nawet zbyt szczegółowo, charakteryzują również konieczne prace organizacyjne i aranżacyjne, oparte na dwóch przesłankach głównych, mianowicie na użyteczności i na przyjazności.

W tym kontekście pojawia się niewesoła refleksja w odniesieniu do rodzimej (obawiam się, że nie tylko naszej) oferty bibliotecznej dla dzieci. Otóż, agendą (filia, oddziałem) biblioteczną dla dzieci obecnie dysponuje w Polsce co ósma biblioteka publiczna, przede wszystkim w miastach. Niektóre z tych bibliotek są znakomite, w pełni nowoczesne i kreatywne, ale jest ich zdecydowanie za mało oraz nie znajdują stosownego wsparcia. Za granicą istnieją specjalne, ogólnokrajowe programy, korzystające z rozmaitych grantów i ze środków rządowych – rzeczywiście pokaznych: w Zjednoczonym Królestwie – Bookstart, w Australii – Better Beginnings, a w USA – Family Place Libraries. W Polsce akcja *Cała Polska czyta dzieciom* – bezcenna zresztą – opiera się na społecznej inicjatywie oraz dobrej woli niektórych bibliotekarzy. To za mało.

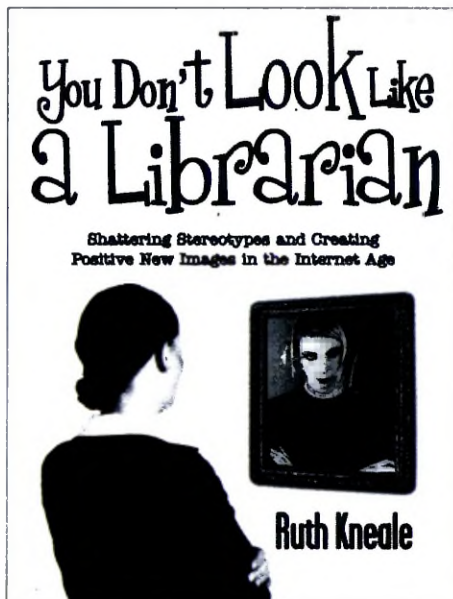
Byłaby najwyższa pora, żeby za inwestowanie w czytelnictwo dziecięce i w biblioteki dla dzieci, poważnie wziął się resort kultury (a resort edukacji to nie?) i jego Instytut Kultury. Ale takich symptomów nie ma.

[6] O STEREOTYPACH STEREOTYPOWO [*]

O stereotypach bibliotekarzy, a właściwie bibliotekarek, napisano już mnóstwo tekstów, kiedy więc w renomowanym wydawnictwie pojawiła się kolejna książka na ten temat (Kneale, 2009), z chwytliwym tytułem, miałem nadzieję na jakieś nowe ujęcie. Niestety, nic z tego. Długie rejestry przykładów stereotypowych wypowiedzi o bibliotekarkach i bibliotekarzach, w znacznym stopniu od dawna już znanych, zostały opatrzone mało pomysłowym, a często naiwnym komentarzem. Trudno zgadnąć, czemu wydawca zgodził się na taki tekst.

Lwią część książki zajmują opinie rozmaitych osób, co nazwano „badaniami”, ale to z żadnymi badaniami nic wspólnego nie ma – oraz przywołania sylwetek bibliotekarskich z powieści, z filmów, z komiksów i z gier, głównie karykaturalnych, a tylko niekiedy przyjaznych. Podobne rejestry widziałem już w kilku książkach (dwie sygnalizowałem w PB), ale autorka ich nie czytała. Widać nie tylko u nas ludzie wolą pisać niż czytać.

Także dla celów poznawczych. No bo, jak pisze się o stereotypach, to wypadałoby sprawdzić w piśmiennictwie psychologicznym, co to takiego jest ten stereotyp, a nie opierać się na... hasła z encyklopedii. Stereotyp ma bowiem charakter podświadomy, z ograniczoną relacją do aktualnej rzeczywistości, zatem nie tak łatwo go przełamać, jak to sobie autorka naiwnie wyobraża. Prosta sprawa – z bibliotek korzysta 30-60% społeczeństwa, zaś kiepski stereotyp bibliotekarki jest znany nieomal wszystkim.



Kneale odtwarza go oczywiście w głównych zarysach. To starsza i niemodna pani, która nie odróżnia komputera od kota. Oraz przypomina Oscarowy musical z 1962 r. *Music man*, w reżyserii Mortona Da Costy, w którym pojawiła się taka właśnie postać: Marian (potem w obiegu przerobiona na Marion) the librarian. Od siebie dopowiem, że później lansowali ją zdumiewająco ochoczo wybitni intelektualiści (i stali użytkownicy bibliotek), mianowicie Marshall McLuhan i Umberto Eco. Nie żebym judził, ale jeżeli ktoś myśli, że profesorowie kochają swoje bibliotekarki, to popełnia błąd. Stereotypowy.

Efektem tego stereotypu jest – zdaniem autorki – niski status bibliotekarskiego zawodu i mizerna pensja, przez co z tej profesji uciekają najlepsi. Kneale podaje nawet wysokość tej nędznej pensji: w USA średnio 50 970 dolarów rocznie. Rzeczywiście skandal. I wprawdzie nasi bibliotekarze zarabiają (średnio) pięć-siedem razy mniej, ale to nie pomniejsza złej woli i nieprzyjaznej postawy pracodawców amerykańskich.

Naturalnie, cały ten stereotyp przyjemny nie jest i ciąży na naszym zawodzie jak mroczna legenda. Autorka wyraża nadzieję, że zmieni się pod wpływem dobrej praktyki oraz nowej technologii. To ewentualnie możliwe, ale w bardzo długim horyzoncie czasowym, co najmniej kilku pokoleń, natomiast na pewno nie zaraz oraz zapewne nie wszędzie.

Szkody uchodzą za skąpców mniej więcej od pięciuset lat i nic nie pomaga, że dają teraz sowite napiwki w krakowskich pubach i barach. Stereotyp jest jak kleszcz lub pijawka – nie puści. Trzeba nauczyć się żyć z nim oraz mimo niego. Natomiast opowiadanie banialuków, że łatwo go wyeliminować, tylko mąci w głowach.

KSIĄŻKI OMÓWIONE

- [1] Miha Kovač [2008]: *Never mind the web. Here comes the book*. Oxford: Chandos Publishing, 185 s. ISBN 978-1-84334-405-6 [*****].
- [2] Kathy Dempsey [2009]: *The accidental library marketer*. Medford: Information Today Inc., 294 s. ISBN 978-1-57387-368-0 [****].
- [3] *Bibliotecznaja diejatelnost' w usłowijach kulturnowo i jazykowo raznoobrazja* [2009] Moskwa: Paszkow dom, 167 s. ISBN 978-5-7510-0434-7 [***].
- [4] *Finansirovanije respublikanskich, krajewych, oblastnych i okružnych bibliotek Rossijskoj Federacji 1995-2006 gg. Statisticheskie materiały* [2009]. [Opr. Galina Smolina]. Moskwa: Rossijskaja gosudarstwienaja biblioteka. 200 s. [***].
- [5] Carolyn Rankin, Avril Brock [2009]: *Delivering the best start. A guide to early years libraries*. London: Facet Publishing, 190 s. ISBN 978-1-85604-610-7 [***].
- [6] Ruth Kneale [2009]: *You don't look like a librarian*. Medford: Information Today Inc., 198 s. ISBN 978-1-57387-366-6.

Jacek Wojciechowski
Instytut Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa
Uniwersytet Jagielloński

Tekst wpłynął do Redakcji 22 maja 2010 r.